Ner 13. Kraków, dnia 16go Lipca 1876. Rok VIII.

Włościanin.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 cent. 15.—W Prusach i w Poznańskiem kosztują oba pisma 3 tal.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

17. P. Aleksego i Berty.	21. P. Dan. i Kamilla.
18. W. Szymona z Lipn.	22. S. Maryi Magdal.
19. Ś. Wincentego a Paul.	23. N. 7 po Św. Teofila.
20. C. Małgorzaty p.	24. P. Krystyny p.

Adres redakcyi:
Księgarnia A. Dygasińskiego w Krakowie.

Franek Obieżyświat,

opowiada historyą własnego życia.

Nicpoń był zemnie wielki od kołyski prawie, choć rodzice moi, świeć Panie ich duszy, uczciwi byli i wszelkich sił dokładali, byle mię na człowieka wyprowadzić. Bywało, że nieboszczka matka łzami się zalewała i prosiła:

„Oj Franku, Franku, upamiętaj się prze- „cie, idź do kościoła, zmów pacierz szczerze, „a Bóg pomoże i Matka Boska Cudowna, że „inną skórę obleczesz.“

Słuchałem ci ja, dopóki matka mówiła i płakała, poszedłem do kościoła, modliłem się, płakałem nieraz nawet sam, ale potem jakoś zawsze wszystko to ze łba mi wywietrzało, licho podleciało człowieka i dawaj robić głupstwa a rodzicom przyczyniać zmartwienia.

Z ojcem bo nie było żartów, stary był pracowity człowiek i własnemi siłami dobił się niezłéj fortuny; zawsze na zagonie, w stodole lub w lesie zapracowany, niebardzo jakoś z początku uważał na moje psoty. Przypadkiem podsłyszałem był raz, jak perswadował matce:

„Nie zawodź mi tak ciągle jękami, chłopak „dziecko jeszcze, dwunasty mu rok idzie do- „piero, szkoły we wsi nie ma, uczyć się nie „może, cóż będzie robił? Wybiera gniazda, bo „mu pstro w głowie, nie wie jeszcze jakiej to „użyteczności wielkiej na świecie są ptaszkowie „leśni i polni; przy pierwszej sposobności zerżnę „raz i drugi dudy postronkiem i będzie miał „naukę na zawsze.“ Ale ojciec mój, którego bałem się jak ognia, nie wiedział o wszystkich moich sprawkach, a codzień rosła ich liczba. Matka też sama się dręczyła, strofowała tylko, zmilczała zaś przed ojcem, bojąc się, abym srogo ukarany nie został. Tak więc najmniejsze tylko winy wychodziły na wierzch, większe zostawały w ukryciu przed głową domu, co było złem wielkiem, gdyż ojciec wcześnie byłby niejedno w zarodzie przytłumił, a ja może uniknąłbym był tych przygód, jakich musiałem doznawać późniéj na obczyźnie zdala od rodzinnéj strzechy.

Miałem ja przyjaciela Kubę, który już przed trzema laty Bogu oddał duszę. Dobre było chłopaczysko, ale też lampart jakich mało; podmawiał on mię do rozmaitych figlów, a ja jego tak, że Franek bez Kuby, lub Kuba bez Franka, to tak było jak ciało bez duszy lub dusza bez ciała. Każdego dobrego figla mogliśmy tylko oba wykonać. Jeden wymyślił, drugi obmyślał i zrobiliśmy razem. Nieraz narobiliśmy nocą we wsi gwałtu: gore! gore!... Wyległa cała gromada, patrzą, a tu nigdzie ani znaku ognia. Dopiero pędzą do stróża nocnego, a ten sobie w budce zabitéj gwoździami chrapi w najlepsze. Myślano, że figla zrobili starsi już parobcy i nie na jednego padał posądek; nikt jednak nie przypuszczał, że to my oba z Kubą. Inną razą zaczailiśmy się w krzakach przy gościńcu, wiedząc, że tamtędy będzie jechał Szmul arendarz z wycieczki swéj za jajami, skórkami i zbożem, które wyłgiwał po okolicy jako lichwę od rozpożyczonych temu i owemu pieniędzy. Więc tedy ja i Kuba ubrani w bielutkie płachty na wysokich szczudłach z kosami w ręce stanęliśmy na drodze wobec przejeżdżającego żyda, który na ten widok zemdlał i zleciał ze swoje-

go mocno wypchanego wózka. Poczem podcięliśmy dobrze konia, a ten cwałem do wsi poleciał, tylko że zawadził o kołowrot, wóz się przewrócił, zboże, jaja i co tam jeszcze było zmieszało się wszystko razem nie bez szkody. My zaś chyłkiem uciekliśmy do wsi, już nie na szczudłach, ale własnemi nogami zwijając co sił starczyło. Ktoś wyratował konia z kołowrotu i przyprowadził Szmulowéj, oczekującéj powrotu męża. Gwałt się zrobił wielki, ile że kilku nałogowych siedziało jeszcze przy pólkwaterku w karczmisku. Wszystko to poleciało szukać żyda, bo Szmulowa obiecała dwa garnce dobréj gorzałki tym, którzy odnajdą jéj męża.

Nie trudno było go znaleść, leżał bowiem na równej dzodze; myślano z początku, że go apopleksya zabiła, ale późniéj wytrzeźwiony opowiedział straszne zjawisko, dodając, że to zapewne cholera do wsi przyszła tego wieczora. Naturalnie, cholera nie przyszła, bo cholera nie jest ani duchem, ani téż osobą, ale poprostu zarazą, która powstaje prawdopodobnie z pewnych grzybków bardzo maleńkich tworzących się w kiszkach człowieka. Ja z Kubą śmieliśmy się serdecznie, ale téż i boja mieliśmy niemałego, zwłaszcza, że nas już raz ten sam Szmul złapał na figlu, gdyśmy przyjacielowi jego, arendarzowi z drugiej wsi wywlekli z worka na wozie cielę, a wsadzili ogromnie dużego i złego psa burka, który nocą wartował na podwórku przy chacie ojca Kuby. Zą ten ostatni żart Kuba dostał straszne wały od swego ojca, ale zniósł wszystko sam i mnie nie wydał, choć cały ten pomysł gotowy ja mu przyniosłem i oderwałem go był od obierania kartofli.

Wszystko to i inne sprawki jakoś nam uchodziły. Ojcowie tylko i matki zakazali swoim synom wdawać się ze mną i z Kubą, bo niejedno się wydało, choć ojcu memu nie śmiano o tém jakoś mówić, miał bowiem uznanie w gromadzie i myślano zapewne, że taki poczciwy a rozumny człowiek wie wszystko, co się dzieje w chacie, zwłaszcza téż znać musi syna. Raz tylko ktoś tam natrącił: „Grzegorzu, pamiętajcie, że jedynaki to idą na haki.“ — Ale stary tak się zesierdził, iż o mało do bójki od słów nie przyszło. Potém w chałupie splunął, zawołał mię do siebie, patrzył mi długo w oczy z surowością taką, że mię i ciarki przechodziły i ciepło się robiło na grzbiecie. — „Słuchaj no ty nicponiu, gadają o tobie źle, „gdybym ja wiedział, że ty zostaniesz wisiel-„cem za ladajakie czyny, dziś założyłbym ci „na szyję postronek.“ Rozpłakałem się jak baran, padłem panu ojcu do nóg i całowałem długo, aż wstał i mnie leżącego na ziemi zostawił. Truło mię sumienie, a złe swoją drogą podszeptywało: „to a to zbrój;“ spotkaliśmy się z Kubą i słowa ojca wyleciały jakoś z głupiej głowy. Było to w niedzielę o samym zmierzchu. Stało nas kilku przed karczmą, do której nachodziło dużo luda miejscowego i przejezdnego. Naraz jedną chudą szkapiną zajeżdża jakiś przybłęda na wozie wypchanym towarem różnym. Bierze wór, idzie do karczmy, rozkłada pierścienie świecące, lalki, piszczałki, przerozmaite rzeczy. Ludziska gęby pootwierali, niejeden coś kupi, inny zatarguje i nie kupi, a niemczysko chwali, pokazuje, zachęca. My tylko przez okno popatrzeliśmy, bo mi ojciec do karczmy wchodzić zabraniał; a że nas pchano od podwórza, musieliśmy ustąpić miejsca dziewkom i innym, co do karczmy wejść nie chcieli lub nie mogli.

— „Wiesz co — rzekłem do Kuby, jak myślisz, czy ten rudy niemiec będzie tu nocował, czy pojedzie na całą noc?“

— „Juścić pojedzie, bo jutro jarmark na świętą Małgorzatę w miasteczku. — A cóż ty myślisz?“

— „Ja myślę, że on nie zajedzie tam na jutro, jeśli my zechcemy.“

— „A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym; szkapę ma lichą, musi przejeżdżać te oto piachy za wsią, wóz dobrze już jest i tak wyładowany; jakbyśmy téż dołożyli jeszcze ciężaru....

— „Ale jakiego ciężaru?“

— „Ba, czy to mało kamieni tutaj do koła?“...

— „A, no to zabierzmy się do roboty, zgromadźmy dobrą kupkę naprzód; potem wory precz na ziemię, rozumiesz, kamienie na spód i znowu przykryć workami, tylko trzeba dobrze pochować, żeby się nie przepełniło i żeby nas bestya ruda nie złapała.“

Zabraliśmy się do tej nieszczęśliwej roboty czemprędzéj, — kamieni kupa stanęła w lot blizko wozu. Niemiec często wyglądał na wóz, nawet zbliżył się do mnie raz i pytał, czemu się tak przypatruję.

— „Tak sobie patrzę, czy was ta szkapa daleko zaniesie, bo strasznie chuda, mało dajecie jeść biedaczce, a pracy chcecie snadź dużo.“

— „Nu, nu, chłopczyku, pilnuj tu worków, żeby nie skradł jaki łajdak, dostaniesz pierścionek.“

I poszedł znowu do karczmy.

Ja na wóz, dawaj worki na ziemię ciskać po jednemu, a Kuba nuże pchać na wozisko kamienie; koń jakby czuł, co go czeka, tak jakoś westchnął niby człowiek. Już kamienie były na spodzie, a wory na wierzchu upakowane, kiedy mnie zrobiło się żal tego konia właśnie.

— „Wiesz co Kuba, serce mię boli za t n ż rt, nie żal niemca, a żal poczciwego koniska; kto wie, — będzie go batożył, aż musi przejść przez piachy, bo niemcowi i żydowi to zawsze pilno na kiermasz, choćby zwiérzę życiem miało przypłacić. Odróbmy nazad ten żart, tylko prędko zanim niemiec z karczmy wyjdzie.“ Więc znowu worki zwalam na ziemię i już wyrzucam kamienie, kiedy ktoś mocno łap mię za kark i nuż krzyczeć: „Złodziéj! dawaj, wójt gdzie!... łapaj!... i td.

Matko Boska Częstochowska, przeszły mię wszystkie ognie i przypomniał mi się ojciec.

Ja złodziéj, dobrze! zginąłem już!

A niemczysko, łap mię znowu drugą łapą za łeb i z wozu na ziemię. Poczuł widać, że ma z niedużą figurą do czynienia, bo zaczął kułakować, bić, kopać i ciągnąć do karczmy. Ludzie zobaczywszy mię, kiwali głowami i szeptali: „patrzcie, ten Franek nic dobrego, już się do smykostwa wziął nawet!“

Wtłamsili mię gwałtem do karczmy. Patrzę ja, a tu mój ojciec siedzi z gospodarzem, którymś na ławie. O gdybyż go tam nie było!... Jakaś we mnie straszna siła wstąpiła; jak się nie zwinę w szczupaka, jak wytnę niemcowi sójkę pod żebra, a ten klap na ziemię, i jeszcze kilkoro przewrócił sobą w natłoku. Ja tu w tym okrutnym strachu daléj na ławę, z ławy w otwarte okno przez głowy siedzących i patrzących z podwórza; późniéj co siły w nogi... Oparłem się dopiero u Wisły, ale tu także nie czekałem długo; przepłynąłem ją wpław i dostałem się na ostrów między gęstą wiklinę, gdzie już odetchnąłem wolniéj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zasiew.

Ziarnem zasiał rolnik pole,
Czeka zimą — aż tu wiosną
Same chwasty i kąkole,
Na calutkiém polu rosną. —
    Ledwo czasem kłosek żyta
    Jak przybłęda w cudze strony,
    O przytułek niby pyta,
    Zielskiem wkoło opleciony. —

„Co się stało o mój Boże,
Dałem ziarno a nie plewy,
Zkądże kąkol róść tu może,
Gdzież przepadły me zasiewy?“ —
    Rolnik w trosce zadumany,
    Stał nie patrząc na nikogo,
    Gdy wtém kijem podpierany,
    Siwy dziadek idzie drogą. —

„Niechaj będzie pochwalony,
Szczęść wam Boże, bracie miły,
Niech Pan strzeże wasze plony,
I do pracy niech da siły.“ —
    „Dzięki ojcze za życzenie —
    Lecz mą pracę wiatry zwiały,
    Moje zbiory i nasienie,
    Już przepadły na rok cały.“ —

Chyba jakaś kara Boża,
Choć pracuję całą siłą,
Mam chwast w polu zamiast zboża,
Zdrowe ziarno w polu zgniło!
    „Ja sam nie wiem co się dzieje!...
    Ha, mój bracie już to pono,
    Choć się czyste ziarno wsieje,
    Lecz gdy w rolę opuszczoną.

Zawsze takie są zawody,
Zawsze kąkol siew zagłuszy —
Więc na przyszłość bracie młody,
Te przestrogę chowaj w duszy.
    Nim się w polu siejba zacznie,
    Nim zarzucisz niwę zbożem,
    Każdy zagon upraw bacznie,
    I przeżegnaj słowem Bożém.

A spokojny czekaj potem,
Aż się ziarno twe rozpleni,
I pszeniczka błyśnie złotem,
I żytko się zazieleni. —
    Za twą pracę — trudy znoje,
    Plon obfity znajdziesz w brogu,
    Tylko zawsze dziecię moje
    Pracuj z Bogiem — pracuj w Bogu!“

Czas żniwa następuje.

Kiedy ziarno w kłosie jest już pełne, nie należy zważać na to, iż ma ono w sobie jeszcze pewną miękkość, ale należy rozpoczynać żniwo. Ziarno bowiem najlepszém jest wtedy, gdy dojdzie na garści, w snopie, a nawet dochodzi ono jeszcze i w suchéj stodole. Niedobrze wychodzi gospodarz, jeśli zbyt długo wyczekuje ze swém zbożem na pniu; dojrzeje ono wprawdzie, ale pociechy z niego nie będzie wielkiéj. Przestałe ziarno wylatuje z kłosa na pole już w czasie żniwa, łatwo wypada w czasie zwózki do stodoły i przy układaniu snopów w warstwy.

Przyczém pamiętać się téż godzi bardzo ważną okoliczność, że ziarno zboża na pniu przestałego nie jest nigdy prawdziwie piękne, a kupcy zbożem handlujący baczą na to i cenę obniżają, wiedzą oni bowiem, iż piekarz im ostatecznie będzie wybredzał: mówiąc, „nie będzie z téj mąki chleba.“ Co prawda, będzie ona, lecz lichsza i ciemniejsza. Nadto dodać wypada, że ze ziarnem idzie w paszy wartość słomy, którą na pniu stojącą gdy przepali słońce, bydlęta z niesmakiem pożywają, a i ten wzgląd ostatni powinien mieć w wiejskiem gospodarstwie znaczenie swoje, bo tu skrupulatnie wszystko trzeba obliczać, aby żydowi gwałtem nie pchać się w kieszeń i nie dla niego, lecz dla siebie skutecznie, rozumnie a poczciwie pracować.

O źrebnych klaczach.

Człowiek pracujący ciężko w pocie czoła i dopomagające mu do téj pracy zwierzęta stanowią pewną kompletną całość, a jeśli zwierzęta, jak mówimy — nierozumne okazują nam przywiązanie i uległość, to czemuż my ludzie rozumni nie mielibyśmy dla zwierząt mieć przynajmniéj litości. W krajach innych istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami, u nas ludzie nie doszli do takiego rozumu i widzieć nieraz można włościanina, jak się pastwi nad jedynym swym przyjacielem konikiem, który cierpliwie znosi chłostę, choć to przecie czujące stworzenie Boże. Nietylko bicie jest pastwieniem się nad zwierzętami, ale i używanie ich niewłaściwe do pracy. Widziemy częstokroć źrebną klacz ciągnącą wóz przeładowany drzewem, zbożem lub żydowskim ciężarem, a klacz ta dobrze się już wysłużyła w gospodarstwie i ma właśnie zostać matką potomka, który znowu będzie dźwigał naszą włościańską dolę, daj Boże, żeby on choć doczekał lepszych gospodarzy, swych panów. Otóż ta klacz zasługuje na względy, na oszczędzanie, a przynajmniej na użycie jéj do pracy w sposób nmiarkowany. Pokarm trzeba jéj podawać dobry i obfitszy niż zwykle, ma ona bowiem karmić nietylko siebie, ale i źrebię w niéj będące, które wtedy już potrzebuje dosyć obfitego pożywienia. Przez cały czas źrebności klacz taka może pracować, lecz nigdy zanadto wiele. Dobry gospodarz wie, iż klacz nosi źrebię 11-cie miesięcy właściwie 330 dni, ostatni zatem tydzień przed oźrebieniem i pierwszy tydzień po oźrebieniu należy się dać zupełną folgę od pracy, kto może, to i dziesięć dni. Najlepiéj dla gospodarza w ejskiego stanowić klacze w Lutym, albowiem na Styczeń roku następnego przypadnie oźrebienie, a w Styczniu mało dla konia roboty i źrebię się wystoi przy matce w stajence przez parę miesięcy, wzmoże się na siły tak, że już przy wiosennéj pracy będzie mogło za matką na rolę polecieć, a zarwawszy tu i owdzie młodéj trawki, nietyle ssaniem wycieńcza matkę zmożoną przez całodzienne trudy. Na jesień téż źrebię takie dostawszy się na karm zimową będzie mocniejszém od innych, i wykształci się na silnego i zdrowego konia.

Opis bitwy pod Zajcarem.

Pod Widdyniem fortecą turecką obozowało Turków z górą 20,000, gdy ich zaatakowało wojsko serbskie dowodzone przez pułkownika Leszjanina, a liczące zaledwie połowę téj siły, jaką rozporządzał Turczyn. Dnia 2 Lipca Serbowie uderzyli na forpoczty tureckie, które pierzchnęły; poczem zaczęli wkraczać na ziemię turecką, pozostawiwszy część swoich w obozie okopanym pod Zajcarem. Turcy pod dowództwem Osmana paszy wyruszyli także całą siłą na spotkanie nieprzyjaciela, czego się Serbowie bynajmniej nie spodziewali, jako téż nie myśleli, że znajdą taką znaczną przewagę sił tureckich. Już te dwie rzeczy niedobrze usposobiły armię serbską, cóż dopiero, gdy się daléj przekonano, że ład i zaprawa do ćwiczeń wojennych cechują armią turecką w wyższym stopniu, aniżeli to mogło być w świeżo zaciężnym żołnierzu serbskim pełnym wprawdzie zapału patryotycznego, lecz nieprzywykłym do komendy i nieprawnym do boju. Najprzód Serbowie rozpoczęli ostrzeliwać Turków, nie wyrządziwszy im wielkiéj krzywdy, gdy oto tureccy strzelcy z bagnetem w ręku rzucili się na tak zwaną „legią świętą“ i zmusili ten zastęp do ucieczki. Na uciekających puszczono dziką turecką jazdę, która tu straszną rzeź sprawiła. „Legia święta“ w ucieczcie swéj oparła się o drugi zastęp serbski zwany „Kraina,“ który również nie mógł wytrzymać strasznego ataku tureckiéj jazdy. Zagłada zupełna groziła Serbom na tym punkcie, szczęście, iż zdołali poformować czworoboki, na których tu i owdzie powstrzymaną została odwaga zapalczywéj kawaleryi. Serbowie teraz rozpoczęli regularny odwrót, licząc dotkliwe straty w szeregach swo-

ich, choć i Turków, zwłaszcza kawaleryi zginęła moc wielka. Nazajutrz o świcie bój się na nowo zaczął, początek dała serbska jazda timocka, która pod wodzą majora Radoszawlewicza odparła na tyły lewe skrzydło tureckie.

Najwięcéj teraz dokuczyła Serbom artylerya, która ich zmusiła do cofnięcia się za okopy; atak Turków na te okopy serbskie nie udał się, ale oddziały Tureckie, dostawszy się w gęstwiny rosnące nad brzegiem Timoka, prażyły Serbów z boku strasznym ogniem. Wtedy to Leszjanin wydał rozkaz do odwrotu, w czasie którego Turcy razili cofających się nieustannymi strzałami. Serbów miało zginąć około dwóch tysięcy, Turków również padło bardzo wielu.

O wolności.

Dawno minęły czasy, kiedy we wszystkich krajach, które nawet najwyżéj stały w naukach istniał szpetny zwyczaj, że jedni byli wolnymi i mogli rozporządzać sobą, jak dzięki Bogu, każdy z nas teraz może to czynić, drudzy znowu byli skazani na wieczne niewolnictwo i uważani jako własność wyłączna tamtych, którzy mogli robić z nimi, co chcieli, jak teraz naprzykład gospodarz ze swoim bydełkiem. Taki niewolnik nie tylko był biedną istotą przez całe życie, ale mając potomstwo nie mógł się spodziewać dla niego innego losu. Tysiące lat istniał ten zwyczaj, aż wreszcie zlitował się Najwyższy i zesłał syna Swego, aby uszczęśliwił ludzkość. Sam Zbawiciel czytał o Sobie z księgi Izajasza to proroctwo: „Przysłał mnie po to, abym nauczał ubogich, leczył tych, którzy mają serce zranione, *zwiastował niewolnikom ich wybawienie*, przywracał ciemnym wzrok *i wypuszczał na wolność tych, którzy są obciążeni łańcuchami.*

I stało się według tej przepowiedni, oczywiście że nie zaraz zniesiono niewolę na całym świecie, setki lat po wystąpieniu Chrystusa istniała ona w wielu krajach, ale gdzie tylko światło chrześciańskiéj nauki doszło — ustawało niewolnictwo i cieszyli się *„obciążeni łańcuchami.“*

W czasach pogaństwa niektórzy mężczyźni tylko byli niewolnikami, z kobiet zaś każda była niewolnicą, była rzeczą należącą bądź do ojca, bądź do męża; i to Chrystus usunął, stawiając kobietę na równi z mężczyzną, podnosząc ją nawet bardzo wysoko „w osobie téj, która starła głowę węża.“

Jednak to był dopiero pierwszy krok do wolności, do jakiéj każdy powinien dążyć. Chociaż bowiem właściwych niewolników nie było już, wolność zupełna nie świeciła światu, bo wiele lat jeszcze był zwyczaj, że większa część ludzi była zmuszoną nie ruszać się ze swego miejsca, syn rolnika czy chciał, czy nie chciał musiał być rolnikiem; każdy się tu domyśli o czém mowa, była to pańszczyzna, uciemiężenie chłopka. Króla Kazimierza przez drwiny nazywali „królem chłopskim,“ a teraz przydomek ten więcéj go podnosi niż to, że go „Wielkim“ zwano. Nie na tym kończy się wolność, że nie ma niewolnika, że każdy może miejsce pobytu i zatrudnienie obrać, jakie mu się podoba, teraz każdy chce, aby mógł wypowiedzieć otwarcie, jak urządzić kraj, co trzeba zrobić, aby naród był szczęśliwy. Dziś wybieracie posłów do sejmu, i każdy z Was może być nim, może radzić co trzeba zaprowadzić, aby było w kraju dobrze. Tak więc każdy bierze udział w rządzie kraju i do tego teraz wszyscy dążą, a im większy ten udział, tém większa wolność i naród szczęśliwszy.

Zachodzi jednak obawa, że wielu może źle rozumieć wolność; niejeden myśli sobie, że wolno mu robić, co chcieć, rozbijać, pić, nic nie robić, ale właśnie przeciwnie, ludzie, którzy chcą być wolnymi, muszą pilnować swoich obyczajów jak najwięcéj, inaczéj nie zasłużą na to, aby mogli sami o swoich potrzebach radzić. Wszakżeż dawno niewola zniesiona, a złodzieja trzymają w zamknięciu. Jeżeli naród będzie się składał z leniwych i opilców, czyż można go przypuścić do wolności? Lud więc chcący być wolny, powinien być religijnym i moralnym, co prawie jedno i to samo, bo kto jest religijnym, musi téż być moralnym i naodwrót.

Religijność polega na wykonywaniu przepisów kościoła, a kto je wykonywa, jest już moralnym. Lecz i tego nie dosyć. Wiadomo, że człowiek chociaż dobry ale głupi, nie na wiele się przyda, każdy go zbałamuci kto zechce, i potrafi tak zamanewrować, że on nawet na swą zgubę będzie pracował. Podobnie jak złodziej nie może dobrze radzić o tém, jakby najskuteczniej zapobiedz złodziejstwu; a pijak o położeniu kresu pijaństwu, tak znowu nie może głupi radzić o szkołach i o dobrem urządzeniu w kraju. Człowiek więc wolny musi być jeszcze oświeconym, bo inaczéj nie potrafi sko-

rzystać z wolności, a nakoniec sam się jéj pozbawi.

Otóż od człowieka, który chce być wolnym wiele się wymaga, na wolność pracować muszą całe pokolenia. Od narodu wolnego wymaga się aby był religijny, moralny i oświecony, inaczéj nie może myśleć o posiadaniu wolności. Były wypadki, że narody niektóre wolne, same sobie prawa dawały póki były cnotliwe, a skoro cnoty upadły, przeszły pod rządy tyranów. Z tego wynika, że kto chce być wolnym, musi się uczyć i mieć silną wolę, aby nigdy nie zejść z drogi obowiązku oraz cnoty.

Przyrząd do wiązania zboża.

(*Przedruk częściowy z „Nowin.“*)

Wiadomo dobrze, że każdy człowiek, oddający się pewnemu zatrudnieniu, jeżeli tylko umie się zastanawiać oad rzeczami, z któremi ma do czynienia w swoim zawodzie, wpada często na rozmaite pomysły, jakby ulżyć sobie w pracy, jakby do niej najmniej spotrzebować czasu i pomocy drugich ludzi, jednem słowem: jakby przy robocie swojéj zaprowadzić co największą oszczędność we wszystkiem. Nie każdy jednak, mimo że nałamie sobie nieraz dobrze głowy, jest w stanie wykonać to, o czem myśli, bo mu brak albo nauki albo zręczności. Drugi znowu szczęśliwszy, obdarzony od Boga szczególnym jakimś talentem, wszelki swój pomysł umie do skutku doprowadzić, a przez to i sobie i innym przynieść pewną korzyść. Taki człowiek, rzutki i zdolny, jeżeli jeszcze posiada naukę, dokonywa wtedy wielkich często odkryć lub wynalazków, co potem na długo i szeroko słyną po świecie.

Dziś szczególniej ludzie starają się o jak największą oszczędność przy swoich zajęciach i pragną liczbę rąk potrzebnych do wykonania jakiejś rzeczy o ile możności zmniejszyć albo całkiem zastąpić jedną prostą maszyną. Ztąd też co dzień prawie możemy słyszeć o coraz to nowej maszynie.

Wiecie zapewne szanowni Czytelnicy, że dość dawno już temu sporządzono maszynę, tak zwaną żniwiarkę, która zastępując żeńców, jest w stanie daleko prędzej i lepiej niż ludzie kosą lub sierpem dokonać żniwa. Ta żniwiarka w wielu już miejscowościach naszego kraju jest używaną z niemałym pożytkiem. Ci, co się zajmują budową maszyn tj. mechanicy albo inżynierzy, ulepszają jak mogą ową maszynę, aby była jeszcze dogodniejszą dla rolnika.

Miesiąc temu przeszło pan Erazm Zabłocki przedstawił Towarzystwu rolniczemu krakowskiemu przez siebie wymyślony przyrząd do wiązania zboża. Przyrząd ten umieszcza się przy żniwiarce, a budowa jego jest taka: Składa się on z dwóch żelaznych, w półkole wygiętych ramion, które za pomocą odpowiedniego urządzenia zwierają się tak, iż obejmują zżęte przez żniwiarkę zboże, opasując je równocześnie powrósłem. To ostatnie, skręcone ze słomianego sznura, ma na końcu gruby węzeł, a na drugim kulkę otwartą. Ramiona żelazne przed wiązaniem stoją rozwarte, a powrósło zaczepione obu końcami, leży na nich poziomo. Gdy zżęte żniwiarką zboże zsunie się po stole na tylny brzeg jego i zakryje powrósło—wówczas w skutek przyciśnięcia odpowiedniej dźwigni zawierają się nagle ramiona przyrządu, obejmują zboże i wtłaczają węzeł powrósła w kulkę, wiążąc tym sposobem snop. Cały przyrząd umieszczony jest tuż pod tylną krawędzią stołu żniwiarki, a robotnik poruszający ramionami wiązacza, siedzi na koziołku przymocowanym do tyłu żniwiarki. Mały chłopiec, po każdem związaniu i wyrzuceniu snopa, zakłada nowe powrósło na rozwarte ramiona wiązacza.

Otóż pierwszego czerwca wysłani przez Towarzystwo rolnicze krakowskie znawcy takich rzeczy przypatrywali się, jak na próbę ten wiązacz pana Zabłockiego wiązał zboże. Próba ta odbyła się w następujący sposób.

Wzdłuż drogi, którą przejeżdżać miała żniwiarka z przymocowanym do niej wiązaczem, rozstawiono kilku ludzi w odległości ośmiu do dziesięciu kroków. Każdemu z nich polecono trzymać na rękach odpowiednią ilość słomy równéj — i w chwili, gdy żniwiarka przejeżdżać będzie, rzucić całe to naręcze na stół. Polecenie to mniej lub więcej zręcznie wykonano, a przyznać trzeba, że ile razy słoma upadła na stół żniwiarki w takim kierunku, w jakim pada na niego zżęte zboże tyle razy przyrząd związał snopy. Dwa z nich rozwiązały się wprawdzie zaraz, ale przyczyną tego była za mała ilość słomy, której powrósło należycie ścisnąć nie mogło. Za powrotem zaś na tej samej drodze związano w powyższy sposób znowu kilka snopów. Na żądanie wielu obecnych wprowadzono żniwiarkę w zielone, na pniu stojące żyto i oczywiście ani snopa nie związano, bo żniwiarka ani dobrze żnąć, ani nagarnąć zielonego zboża ku wiązaczowi nie mogła.

Jak więc widzimy wiązacz ten dziś jeszcze nie jest zupełnie dobrym, ale skoro zostanie udoskonalonym, wtedy będzie on prawdziwem dobrodziejstwem dla tych okolic osobliwie, gdzie podczas żniw o robotnika trudno.

Co słychać w świecie?

Najważniejsza sprawa, jaką się dzisiaj zajmują dzienniki i wszyscy lubiący politykę, jest zjazd w Reichstadt cesarza austryackiego z rosyjskim.

Co o tym zjeździe różni mówią, trudno powtarzać, to pewna, że wszyscy nic lub bardzo niewiele wiedzą. I nic dziwnego, bo sprawy dyplomacyi monarszéj muszą być pokryte tajemnicą. — Wszyscy prawie utrzymują, iż zjazd miał na celu utrwalenie przymierza pomiędzy Austryą i Rosyą, oraz zobowiązanie się wzajemne obu mocarzy do zachowania neutralności wyczekującéj w sprawie wschodniéj. Dodają daléj, iż następnie rozbierane były środki, jakich należy użyć w chwili, kiedy neutralność skończy swoje wyczekiwanie. Rzecz prosta, iż jeśli przyjdzie do interwencyi, to choć w niéj udział może brać tylko Rosya i Austrya, jednakże uchwaloną ona zostanie zapewne wspólnie przez Państwa europejskie. Kiedy ma nastąpić interwencya i w jaki sposób, to może dopiero okazać czas i wypadki.

Konstantynopol. — Wielka liczba ochotników, a między nimi i chrześcian zaciągnęła się do wojska tureckiego. Sułtan wydał do armii rozkaz, aby przy wkraczaniu do kraju nieprzyjacielskiego nie dopuszczano się gwałtów na spokojnych mieszkańcach, a nadto wraz z matką swoją przeznaczył 20.000 liwrów na cele wojenne.

Ziemie polskie. — Co za ironia! Rosya walczy skrycie w obronie niepodległości Serbii, a u nas w Kongresówce gniecie coraz bardziéj wszelki cień nawet niepodległości. Od trzynastego Lipca do sądownictwa w Królestwie Polskiem wprowadzonym został język rosyjski.

Hercogowina. — Jedna z gazet niemieckich podaje takie uwagi Serba o armii księcia Czarnogórskiego: „Serbowie uważają postępowanie księcia Mikołaja jako niejasne, traci on bardzo wiele czasu na przejście przez Hercogowinę, gdzie wcale nie spotyka nieprzyjacielskiego oporu. Miał on się prędko połączyć z jenerałem Zachem, tymczasem pod Gackiem stracił 36 godzin, choć układ był taki, że się nawet nie zbliży do Gacka. Tak samo dwuznacznie ma postępować krewny księcia Mikołaja, Bozo Petrowicz, operujący nad granicami Albanii.

Serajewo. — Gazety nasze z 15 Lipca podają telegraficzną wiadomość ze źródła tureckiego o zdobyciu przez Turków wąwozu Salom obsadzonego przez Czarnogórców. Walka miała trwać przez 12 godzin. Koło Nowego Bazaru wojska Serbskie zostały zupełnie pobite, Turcy ścigali je przez cztéry godzin i odpędzili daleko na ziemię serbską.

Dubrownik. — Lwowska Gazeta Narodowa podaje telegram z Dubrownika z dnia 14 Lipca: Peko Pawłowicz pobił Turków pod Klekiem i zabrał im 150 odtylcówek. Straty Turków wynoszą 150 ludzi w zabitych i rannych, a 15 jeńców. Powstańcy zaś stracili 30 w zabitych i rannych razem.

Rozmaite wiadomości.

— Koza żyje obecnie na całéj ziemi, a gdzie jéj początkowo nie było, tam ją już ludzie rozmnożyli. Jedne kozy są rogate, inne bezrogie, a wszystkie żerują po niedostępnych górach, gdzie rosną właśnie rośliny najlepiéj im smakujące. Noga téż kozy zbudowana jest tak, żeby się zwierzę to mogło wspinać, dawać skoki czepiać na stromości; główną rolę odgrywają tu ostre kopytka. Ze wszystkich kóz na największą uwagę zasługują *kozy kaszemirskie i tybetańskie* mieszkające w południowéj Azyi. Wełna ich jest prześliczna, miękka, bujna, cienka; z niéj to robią się sławne na całym świecie szale *kaszemirskie*, bardzo kosztowne, bo sztuka jedna warta złr. 200 i więcéj, a nad wyrobieniem takiego dużego szalu kaszemirskiego pracuje 24 ludzi przez dziesięć miesięcy nieraz. Oprócz téj kozy znajduje się jeszcze także w Azyi *koza angorska*, któréj włos biały ma pół łokcia długości, jest także piękny i delikatny bardzo, ale tkaniny wyrabiane z niego nie są już tak kosztowne jak kaszemirskie. Mleko kozie jest tłustsze i zdrowsze od krowiego, ale ser i masło liche. Utrzymanie kozy tak mało kosztuje, a korzyści z niéj mogą być znaczne, doliczywszy jeszcze i to, że skóra jéj miękka dostarcza znakomitego, zwłaszcza w lecie nader wygodnego obuwia.

— Znakomity nasz powieściopisarz Józef Ignacy Kraszewski, mieszkający w Dreźnie napisał obecnie dużą powieść w trzech tomach pod tytułem *Stara Baśń*. Powieść ta wprowadza nas w dawne czasy, kiedy w Polsce nieznaną jeszcze była religia Chrystusa, lecz czczono stare słowiańskie bogi, Światowida, Żywią, Kupałę i t. d. Bory wielkie pokrywały kraj nasz ówczas, a w borach przemieszkiwały wiedźmy, czyli kobiety wiedzące różne sposoby uzdrawiania. Z tych czasów pochodzi jeszcze zwyczaj palenia sobótek, a było to święto boga pogańskiego Kapuły. W kraju polańskim czyli polskim mieszkali wtedy *kmiecie i kneziowie* lub *knęziowie*.

Z pomiędzy kneziów wybierano jednego, aby w razie potrzeby zgromadzał kmieci i prowadził na plądrujących u granic Niemców, Pomorców lub innych wrogów. — Za czasów, o których powieść pana Kraszewskiego opowiada, *kneziem* polańskim był *Pepełek, Popiołek* lub *Popiel*, który strasznie uciskał kmieci, gniótł daninami, a z Niemcami się łączył, od nich sobie niewiastę pojął i do nich na naukę synów swoich wysłał. Kmieci kazał ścinać, dusić, truć, z rodziną własną nie lepiéj się téż obszedł, bo stryjów zdradnie na ucztę zaprosiwszy, miodem zatrutym przez swą zdradziecką żonę upoił i życia pozbawił. Powstali wszyscy kmiecie, widząc, że coraz gorzéj w kraju, napadli Pepełka w grodzie jego wysokim, i okrutnik z żoną swoją zamknięty na wieży zginął głodową śmiercią lub

otruwszy się w czasie oblężenia. Ale pozostali synowie tego knezia nie napróżno u Niemców pobierali nauki; wykształcili się oni na bardzo sprytnych rozbójników i nieustannie z najemném żołdactwem pustoszyli granicę téj młodziutkiéj Polski, a mogli to robić tém bardziéj, ile że kmiecie zwaliwszy władzę Pepełka, nie mogli się zgodzić na wybór nowego zwierzchnika. Każdy chciałby był rządzić. Po długich zaradach i zwadach nareszcie, kiedy synowie niecnego Pepełka zwanego téż pogardliwie *Chwostkiem* i *Chwościskiem* coraz częściéj powtarzali napady, kmiecie poszli za radą dwóch chrześciańskich apostołów, którzy się na obradach przypadkiem znaleźli i wybrali na panującego knezia niejakiego *Piastuna* albo *Piasta*, biednego kmiecia, który się głównie pszczelnictwem zajmował. Ten zaczął rządy od tego, że synom Pepełka i Niemcom dał uczciwą naukę; zginęło mnóstwo tych rabusiów w walce z kmieciami, i dopiero pod rządami uczciwego bartnika zaczęła Polska spokojnie i pięknie zakwitać. Wprawdzie Niemcy nigdy nie przestali być trapiącą nas plagą, ale może też kiedyś przyjdzie także kréska na Matyska.

— Jakkolwiek w kraju naszym dosyć jest jeszcze lasu, jednak przyjaciele nasi żydzi i niemcy pracują nad tém nieustannie, aby go było coraz mniéj, a w końcu zupełnie zabrakło. Pracujemy na tém polu i my sami dosyć skrzętnie. Budynki stawiamy zwykle z drzewa, nawet tam, gdzie drzewo drogie, a podostatkiem i tanio nabyć można innego materyału, z którego wygodniejszy, zdrowszy i lepiéj przed pożarem zabezpieczający budynek dałoby się postawić. Nie mówię ja tu o budynkach ceglanych, bo te są znacznie droższe od drewnianych, choć są najlepsze. Budynki znowu z tak zwanéj *glinianéj pizy* czyli *pacy* są pod każdym względem najgorsze i nie powinno się ich w kraju naszym wcale stawiać. Ale mam na myśli budynki *z pizy piaskowo-wapiennéj*, które kosztują ledwie czwartą część tego co ceglane, mają znaczną trwałość i wysokie bezpieczeństwo od ognia, a lepsze są od drewnianych i od nich nawet tańsze. Budynki takie stawiają się tak, jak *z pacy glinianéj*. Bierze się dziesięć do piętnastu korcy suchego piasku, do tego dodaje się dobry korzec wapna, a dolawszy wody i wymieszawszy, otrzymujemy masę, z któréj podoobnie jak z pacy wznosi się mur pomiędzy deskami bez użycia cegieł. Kominy tylko i ogniska z cegły dawać należy, tak jak w budynkach drewnianych.

— *Nitrogliceryna* czyli *dynamit*. Jest pewien olejek bezbarwny jak woda, oleisty, słodkawy, a używany przez kobiety do mycia rąk i twarzy, aby je uczynić delikatniejszemi, olejek ten zowie się gliceryna i sprzedają go po aptekach oraz sklepach. Jeżeli tę glicerynę lać będziemy strumieniem do kwasu zwanego azotowym a pomieszanego z kwasem siarczanym, to otrzymamy tak zwaną nitroglicerynę, która w czasie wybuchu posiada siłę przechodzącą nasze pojęcie. Rzecz dziwna, iż płyn ten, jeśli jest czysty, nie pali się od ognia, zapałkę zapaloną można w niém zgasić. Nitrogliceryna pomieszana z trocinami drzewnemi nosi nazwę dynamitu. Pomyślcie co to za straszna siła, jeśli funt takiego dynamitu położony na wierzchu kamienia ważącego mniéj więcéj 50—60 centnarów w czasie wybuchu druzgoce sobą kamień na tysiące kawałków!

— Pojawiło się w handlu księgarskim kilka bardzo tanich i uczciwie napisanych książeczek jak np. Powiastka: *Pamiętaj abyś dzień święty święcił* (zdarzenie prawdziwe); *Dwie zakonnice; Uczony szewc; Niewidomy i żołnierz i t. d.* Te i inne książeczki po cenach niskich, bo od dwóch do ośmiu centów nabywać można za przesłaniem należności przekazem pocztowym do księgarni Adolfa Dygasińskiego w Krakowie. A w każdym razie większy pożytek z ich czytania niż z jakiegoś niedorzecznego sennika, lub opowiadania o zbójcach, czarnoksiężnikach i t. d.

Zalecają się też maleńkie książeczki po 18 centów traktujące historyą polską, a napisane przez Chociszewskiego.

— Strasznym w skutkach swoich był pożar w Borysławiu, gdzie się znajdują ogromne kopalnie nafty. Pożar ten wybuchł dnia 29 czerwca około godziny 11 w nocy, w samych kopalniach, a mianowicie w stronach szyb, nazwanych w Borysławiu „Nowym światem.“ Choć nie było żadnego wiatru, ogień w przeciągu trzech godzin zniszczół 31 szop (tak zwanych koszar) i 21 szyb. Raźne wzięcie się do gaszenia uratowało resztę kopalni. W czasie pożaru dwóch robotników pracujących wtedy, straciło życie; jeden z nich Nuchim Krupka, podobno z Rosochatego w Liskiem, drugi Michał Szandrowski z Drohobyczy. Dotychczas jeszcze niewiadomo, co spowodowało pożar. Jedni sądzą, że ogień nastąpił przez zajęcie się gazów w skutek nieostrożnego obchodzenia się dozorcy nocnego w szybach, drudzy, że w skutek oglądania kipiączki przy świetle zapałki, inni zaś jeszcze, że ogień zapuszczony został przy zapalaniu cygara. Co bądz było przyczyną, straty z ognia są nader wielkie. —

Niemałą także szkodę poniosła wieś Czortowiec koło Horodeńki, choć już nie od pożaru, ale od trąby powietrznej. Trąba ta straszliwą siłą pędziła obalając, gniotąc, gruchocąc wszystko, co spotkała na drodze. Powaliła znaczną liczbę chat włościańskich i zabudowań gospodarczych, z innych pozrywała dachy, miotając je w górę jak piórka, kilka starych, odwiecznych drzew urwała u samej ziemi, zmiotła wszystkie płoty i wszystko to w powietrze uniosłszy, rzuciła w oddali na ziemię. Całe szczęście, że nikt się nie dostał w ten straszliwy wir nadpowietrzny. Straty zrządzone przez trąbę dochodzą do kilku tysięcy guldenów.

— Pomiędzy worami kukurydzy na dworcu kolei żel. w Bremie przywieziony z New-Jorku — znaleziony został chrząszczyk zwany w Ameryce chrząszczykiem „Colorado,“—niszczący straszliwie ziemniaki. Jest zatem obawa, aby ten szkodliwy owad nie rozmnożył się w Europie.

— **Ceny zboża.** Pszenica biała polska od 10·00 do 12·50, podolska od 9·00 do 12·00, żółta od 9·75 do 12·25, czerwona od 9·75 do 12·50 — żyto polskie od 9·50 do 10·25, podolskie i rosyjskie od 9·25 do 10·25, jęczmień 7.00 do 8·50, groch od 8·25 do 9·25, owies od 11·75 do 12·35, rzepak od —·— do —·—.

Wydawca: W. Kornecki.

Redaktor odpowiedzialny: ***Antoni Bolesław Koziański.***

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.